

# Pasje lingwistów – Słowianin czyli niewolnik

30 listopada 2015

Język był zawsze głównym kryterium rozpoznawania Słowian i tych, którzy nim nie mówili (Nie-mówców, tj. Niemców). Warto przyglądać się słowom, bo odkrywają pokłady skojarzeń, jakich często nawet się nie domyślamy.

Ucząc się języków zachodnich wielu z nas musiało zwrócić uwagę na to, że słowo „niewolnik” brzmi w nich dziwnie podobnie do słowa Słowianin: po angielsku „slave”, po francusku „esclave”, po niemiecku „Sklave”, po włosku „schiavo”, po hiszpańsku „esclavo”, po portugalsku „escravo” (pamiętacie słynny brazylijski serial „Escrava Isaura”?), itp. Niestety, nie jest to przypadek. W późnym okresie rzymskim, kiedy napór plemion słowiańskich na granice cesarstwa narastał, Słowianie – najłagodniejsi i najbardziej pracowici wśród tzw. barbarzyńców – stanowili główne źródło zaopatrzenia imperium w niewolników i słowo-etnonim „slavus”, „sclavus”, urobione od naszego Słowianin (a więc członek lingwistycznej wspólnoty „słowa”) stało się dla zachodniej Europy synonimem niewolnika. Przedtem, w klasycznej epoce rzymskiej niewolnik nazywał się „servus”, o czym wiedzą wszyscy, którzy się łaciny uczyli. Od słowa servus poszły wszystkie dzisiejsze nazwy serwisów, service, usług, podawanie tj. serwowanie (i konserwowanie) dań, serw w siatkówce lub tenisie, itp. nie mówiąc o dawnych serwitutach, serwantkach, a nawet serwetkach (ale nie serwatkach, bo te pochodzą od sera). Stare powitanie „servus!”, które do dziś przetrwało np. w języku węgierskim, to nic innego jak archaiczna deklaracja w rodzaju: „sługa i podnózek, jaśnie pana wysokości”. Notabene, podobne jest pochodzenie włoskiego powitania „Ciao”, które pochodzi od weneckiej potocznej wersji określenia niewolnika: „schiavo > sciavo > ciao”.

Wróćmy jednak do sprawy Słowian. We wszystkich językach powstałych z późnej łaciny, oraz wszędzie tam, gdzie je od nich zapożyczono, Słowianin i niewolnik to jedno i to samo, a Słowiańszczyzna to mentalnie zakodowane w zachodnich umysłach i językach terytoria niewolnicze, zamieszkałe jakby przez ludzi niższej rasy. Może to oznaczać, że jeszcze w Średniowieczu, kiedy niewolnictwo zostało zastąpione przez feudalizm, w Europie patrzono na nas, Słowian, trochę tak jak dziś patrzy się na murzynów w USA, potomków dawnych niewolników przywiezionych z Afryki. Czy nie ma w tym psychologicznego źródła starego germańskiego Drang nach Osten, czyli parcia na wschód, na ziemie niczyje, bo niewolnicze, a więc należne narodowi panów? Przecież dla Niemców (dosłownie „tych, co nie mówią”, czyli nie-Słowian) Slaven (Słowianie) to prawie Sklaven (niewolnicy): te słowa niemal na pewno wciąż sąsiadują ze sobą w mózgach przedstawicieli Herrenvolku oddzielone tylko cienutką błoną podświadomości lub przytłumione wymogiem poprawności politycznej. Nie tylko zresztą Niemców, ale także u wszystkich mówiących po francusku, angielsku, hiszpańsku itp. Warto zdawać sobie z tego sprawę, gdy się z nimi rozmawia. Po angielsku Słowianin tym tylko różni się od niewolnika, że się go pisze przez duże S, ale za to bez ostatniej litery („Slav” i „slave”). Czym różni się po angielsku „black slave” („czarny niewolnik”) od „white Slav” („białego Słowianina”)? Czy tylko kolorem skóry? Problem jest może mniej dotkliwy w przypadku Polaków albo Rosjan, bo do tego, aby wiedzieć, że my też jesteśmy Słowianami, typowy, dajmy na to, Amerykanin, musiałby mieć elementarną wiedzę i odczytanie, których darmo by tam oczekiwać nawet u dolarowych elitariuszy, ale pomyślmy o tym, jak takie skojarzenie może zafunkcjonować w odniesieniu do tych narodów, które tak jak Słowacy albo Słoweńcy, zachowali przecież tę nazwę także na określenie własnej grupy etnicznej.

Wśród samych Słowian (Zachodnich) niewolników zwano dawniej „otrokami”, czyli „jeńcami”, „pojmańcami”, bo tak nas właśnie gnano kiedyś w niewolę: w pętach, otroczonego za koniem. Słowo

to przetrwało w niektórych z naszych współczesnych języków, np. w czeskim, bo stąd, z zachodniej Słowiańszczyzy (i z Bałkanów) pojmano nas ongi najwięcej, a nasi bracia Połabianie (tj. mieszkający nad Łabą) i Obodryci (tj. mieszkający po obu stronach Odry) zostali wytarci z map i historii na zawsze, tak samo jak potem od krzyżackiego miecza i katorżniczej pracy wyginęli bałtyccy Prusowie i Jadźwingowie. Z ogromnym, godnym podziwu trudem trwa jeszcze na ziemi praojców, tuż przy naszej granicy, na Łużycach (Lausitz) i w Miśni (Meissen) we wschodnich Niemczech maleńka, kilkudziesięciotysięczna już tylko społeczność Serbów Łużyckich, która jakimś cudem uniknęła dotąd germanizacji i otroczenia. Dzięki nim Cottbus to jeszcze Chociebuż, Bautzen to Budziszyn, a Goerlitz to Zgorzelec. Bardzo wiele toponimów (nazw miejscowych) we wschodniej części Niemiec ma słowiańskie pochodzenie

W językach wschodniosłowiańskich, czyli ruskich, niewolnik to „rab”, czyli też „braniec”, „jeniec” – słowo wyraźnie kojarzone z porywaniem i agresją (rabunek, Raub), ale pożyczone raczej od turańskich najeźdźców. Można je porównać do pogardliwego tureckiego słowa raja, którym określano masę poddanych chrześcijan, przeważnie słowiańskich albo ormiańskich chłopów w imperium otomańskim. Dopiero od słowa „rab” – a nie odwrotnie – pochodzi „rabota”, czyli „roboty” tzn. czynności rabów, niewolników. Pogarda dla ciężkiej pracy, dziś także dla robotli i robotów (porównaj: wywiezieni na roboty przymusowe, skazany na 10 lat robót itp.), zawarta w tej etymologii jest także świadectwem gwałtu i krzywd jakie nam zadano, wciskając się w ten sposób w naszą podświadomość.

O tym, że problem wcale nie jest błahy, świadczyć może fakt, że wiele narodów i grup etnicznych zadaje sobie wiele trudu, aby zmienić swą nazwę na użytek międzynarodowy, ilekroć pochodzi ona od określeń pogardliwych lub negatywnie kojarzonych zwłaszcza u sąsiadów. Etiopia nie chciała być Abisynią, bo to drugie słowo pochodzi od „habasza” (włóczędzy, przybłądy). Dahomej zmienił nazwę na Benin, bo to ta pierwsza

nazwa – „brzuch Dana” nawiązywała do mitu o powszechnym tam niegdyś ludożerstwie. Syberyjscy Ewenkowie nie chcą być nazywani Tunguzami (choć to nazwa o długiej i powszechnej tradycji, co widać choćby po „meteorycie tunguskim”), bo „tunguz” to po turecku „świnia” i tak ich przezwali muzułmańscy sąsiedzi z południa, ze względu na to, że Ewenkowie jedzą trefną wieprzowinę. Z kolei północni sąsiedzi Ewenków – Nieńcy i ich kuzyni z Jamału – nie chcieli być nazywani Samojedami, choć to ich dawna własna nazwa (Saamid, Saami) tożsama zresztą z Lapończykami, ale przez Rosjan interpretowana jako „ci, którzy jedzą samo (tzn. surowe) mięso”. Bodaj najlepiej znany jest jednak przypadek Cyganów, którzy chcą by ich nazywano Romami, bo Rom, Drom to słowo kojarzone z drogą, koczowaniem, a słowo Cyganie wywodzi się od greckiego atinganoi (niedotykalni) i wskazywało na ich pochodzenie od bardzo niskiej kasty z Indii, co akurat jest prawdą. Tam, gdzie o Cyganach sądzono, że pochodzą z Egiptu (rzekomo jako „towarzysze ucieczki św. Rodziny”, co im schlebiało i ich chroniło), a więc gdzie nazywa się ich „Egipcjanami” (Gypsies, gitanes, gitanos) presja na zmianę etnonimu była o wiele mniejsza.

Jestem daleki od tego, aby z takich przewrażliwień brać przykład, zwłaszcza że lubię swą słowiańską tożsamość i nasze semantycznie bardzo zresztą sprawne języki, ale sądzę, że niektóre skojarzenia warto przenosić ze sfery podświadomości do świadomości, bo wtedy łatwiej o zrozumienie i siebie i innych. Dlatego napisałem ten esej.

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Źródło: [NEon24.pl](http://NEon24.pl)